

DOMINIKA SŁOWIK

---

# ATLAS:



DOPPELGÄNGER

znak



DOMINIKA SŁOWIK

---

**ATLAS: DOPPELGANGER**

Wydawnictwo Znak  
Kraków 2015



*Rodzicom*



**Doppelgänger** (dopuszczalna pisownia doppelganger) – słowo pochodzące z języka niemieckiego, oznaczające sobowtóra, cień, mitologicznego bliźniaka, rozdwojoną jaźń. Dosłownie „podwójny wędrowiec”. Według wierzeń ludowych raz ujrany doppelganger nigdy już nie opuszcza danej osoby, chociaż między jego pojawieniami mogą wystąpić długie, nawet kilkunastoletnie przerwy. Doppelganger często błędnie utożsamiany jest przez współczesnych badaczy kultury z duchem materializującym się, widocznym, z fantasmagorycznym sobowtorem-bliźniakiem, lustrzanym odbiciem dostrzeżanym kątem oka. W rzeczywistości, zgodnie z mitologią ludów koczowniczych Azji Środkowej, z której pojęcie to się wywodzi, doppelganger zazwyczaj pojawia się jako zjawisko amorficzne, wywołuje w nawiedzanym ciągły niepokój, nieokreślone pragnienia, melancholię,

poczucie pustki, potrzebę nadzwyczajnej aktywności. Często osoby nawiedzane przez doppelgangera czują niemożliwy do opanowania przymus ciągłej podróży. W wielu współczesnych interpretacjach i opracowaniach doppelganger błędnie określany jest jako zły duch, zwiastun nieszczęść, mroczne odbicie pierwowzoru, soczewka naszej ciemnej natury. Warto jednak zaznaczyć, że w mitologii plemiennej przedstawiany był jako byt poszukujący, o nieokreślonym stosunku do dobra i zła, ale też bez wyraźnych inklinacji w kierunku strony jasności lub mroku.

Termin w pierwotnym swoim znaczeniu otwierał niejasną dla współczesnych badaczy kultury sferę *sacrum*, związaną z serią rytuałów przejścia i samotnej podróży. Funkcjonujący dziś wyłącznie w szczątkowej formie, opatrzony wtórną nazwą niemiecką, wywodzi się z tradycji koczowniczego plemienia przemierzającego pomiędzy II a V wiekiem Azję (zwłaszcza środkowo-zachodnie obszary kontynentu). Lud ten, będący w dużym stopniu zagadką dla badaczy (niektóre teorie kwestionują jego istnienie), pozostawił po sobie legendarne przekazy, których fragmenty zachowały się w starych tekstach chińskich. (...)

Ciekawość naukowców budzi fakt, że szczątki ludzkie, o typologii odmiennej niż u rdzennych mieszkańców danych terenów, przyozdobione

talizmanami charakterystycznymi dla omawianego plemienia, znajduje się rozsiane po innych kontynentach, nie tylko w Azji i Europie, ale także w obu Amerykach, w Afryce, Australii oraz na niektórych wyspach Oceanii. Część znalezisk, datowanych na V–X w., początkowo wywołało sensację wśród archeologów, jako dowód na nieznane dotychczas migracje ludów, szybko jednak podważono wiarygodność wyników badań, a ich odkrywcę, irlandzkiego archeologa Johna Luscina, pracującego w pierwszej połowie XX w. na terenie Australii i Ameryki Południowej, oskarżono o fałszerstwo. Niemniej, wiele szczątków, o znacznie późniejszym datowaniu niż odkrycia Irlandczyka, jest uznawanych za oryginalne – zgaduje się, że wzór talizmanu musiał zostać rozpowszechniony dzięki chińskim kupcom i utrzymał się, jako antyk i ciekawostka, przez kolejne wieki (odnalezione talizmany pochodzą z II–XVII w.).

*Słownik terminów kultury*, red. Magdalena Pleszarka

(...) zagubienie jest podświadomym pragnieniem każdego podróżnika i stanowi zarazem podstawę paradoksu podróży. Na czym więc ów paradoks polega? Jeśli w trakcie podróży zdołasz się zgubić, to znaczy obojętnym jest ci, jak w odniesieniu do reszty świata

położone jest miejsce, w którym się znajdujesz, (...) można powiedzieć, że jest to pewien rodzaj szczęścia i osiągniętego celu. Otóż przed wyruszeniem w podróż każdy podróżujący był dokładnie w takim stanie – zagubienia w stosunku do reszty świata. Można takie zagubienie, z braku lepszej terminologii, nazywać domem. Wyruszenie w podróż jest tożsame z rozpoczęciem poszukiwań drugiego takiego miejsca, ale założeniem, mniej lub bardziej świadomym, tkwiącym u początków każdej podróży, jest poszukiwanie miejsca nie tylko lepszego od tego, z którego się wyrusza, lecz przede wszystkim, w jakimś sensie właściwego.

João Pardał, *Ensaio sobre os fins do mundo*, s. 395–396

lata dziewięćdziesiąte to były ostatnie lata prawdziwej polski, czas przejścia.

naród był wtedy przedsiębiorczy, kręciło się złote biznesy, każdy kombinował, jak mógł, biegając po ulicach z czarnym neserem (zamykanym na szyfr, ostatni krzyk mody!), który boleśnie obijał się po nogach, gdy człowiek jechał autobusem. pół kraju było na rencie z co najmniej drugim stopniem niepełnosprawności, ale robotę mieli wszyscy, w tym państwo rencistów i inwalidów. żadna kobieta, przezornie, nigdy nie stawiała torebki na ziemi, bo wiadomo, pieniądze uciekną – dzielne, małe filary odradzającej się krajowej gospodarki. zresztą większość z nas majątki straciła w trakcie denominacji, ciężkie miliony, których nie wyrównały potem nawet obietnice wałęsy. bogactwa rodzinne, co miały nam kiedyś zostać przekazane w spadku, przepadły bezpowrotnie.

to był okres wiecznych remontów: kafelkowanie, klejenie tapet, zakup nowych kuchni, no i oczywiście nieustanny odgłos wiercenia, który mieszał się z przerażliwym wyciem odkurzaczy. wszystko robiło się po trochu, na raty, weekendami i po pracy albo jak człowiek szedł do roboty na noc. całe lata dziewięćdziesiąte sąsiedzi wciąż wiercili, napełniając blok przeszywającym czaszkę głosem transformacji. pokoje wykładano „załatwioną” boazerią, deskami ze świeżego drzewa, które długo jeszcze ociekało złotymi, lepкими kroplami żywicy, rozciągając w całym mieszkaniu niepokojący zapach. nie raz i nie dwa dostało się wtedy którejś sąsiadce, bo sobie żaluzje założyła w oknach, a teraz nawet w dzień ma spuszczone, żeby wszyscy widzieli, obnosi dupę jak monstrancję!

pierwsze wyprawy do marketów przepęłniały nas emocjami, wejść można było tylko z imienną kartą wstępu, sprawdzaną dokładniej niż paszport na granicy usa. niektórzy szczęśliwcy mieli rodzinę w czikago, która co jakiś czas przysyłała im wielkie kartonowe paczki wypełnione kilogramami obrzydliwego, burego kakao i amerykańskimi dresami.

dorośli mówili nam, że mamy szczęście, bo za komuny ojcowie przez pierwsze pięć lat w ogóle nie widzieli swoich dzieci: dwa lata spędzali w wojsku, a następne trzy w kolejce po meble. nikt nie jadł wtedy

pomarańczy czy arbuźów i dzieciom do szkoły zamiast jabłek dawało się surowego ziemniaka (zęby miały potem lepsze, zdrowsze, mocne i bielutkie, a nie, jak teraz, od czekolady popsute).

lata dziewięćdziesiąte to był czas, kiedy dziadek anny żył jeszcze i opowiadał nam swoje historie.

\* \* \*

mieszkałyśmy z anną w tym samym bloku na osiedlu. osiedle położone było na skraju miasta, bardzo blisko kopalni. za nim, aż po samą autostradę znaczącą granicę gminy, rozciągały się pola porośnięte wysokimi, suchymi trawami.

bloków stało tam niewiele, zaledwie kilka.

nocą na osiedlu było bardzo cicho. czasami, latem, przy otwartych balkonach słyszało się głuchy odgłos kogoś wracającego z centrum, pojedyncze śpiewy rozdzierały powietrze.

– jebać jebać łks!!!

przez chwilę echo odbijało się pomiędzy blokami, po czym znowu zapadała cisza, a my czuliśmy się jakoś dziwnie, coraz pełniejsi chuj wie czego, jak mawiała melancholijnie anna.

– mazgaj, kurwo!!! – darli się koledzy pod ciemnym oknem, niezmiennie bez odpowiedzi.

anna była w moim wieku, znałyśmy się od zawsze i spędzałyśmy razem dużo czasu.

pamiętam, jak zdechł jej pies – bardzo duży, więc ciężko go było pochować. u nas na osiedlu zawsze mieliśmy problem z grzebaniem zwierząt, w polach dało się zakopać tylko te małe, drobne – ziemia, płytka, sięgała zaledwie kilkanaście centymetrów w głąb, potem zaczynały się kamienie, z których zrobiony był sufit kopalni. mniejsze, jazgotliwe kundły, z gatunku sarenek o cienkich nóżkach i wyłupiastych oczach, niewielkie, wychudzone po zimie koty, chomiki czy króliczki jeszcze się mieściły, ale duże psy (które wtedy nazywało się wilczurami, bo innych dużych psów nie znaliśmy) już nie.

kiedy więc zdechł pies anny, jej rodzice postanowili wywieźć go do lasu, na drugi koniec miasta. tata anny wsadził sztywniejącego już zwierzę do sportowej torby, wziął w rękę pożyczony od sąsiada szpadel i nie zważając na podejrzliwe spojrzenia rzucane mu przez z rzadka napotykanym przechodniów, ruszył w stronę przystanku autobusowego. nie minęło jednak pół godziny, a wrócił, dziwnie zadowolony i bez torby.

okazało się, że gdy szedł na autobus, podeszły do niego dwa karki i zażądały portfela. jednak kiedy zorientowali się, że tata anny ma przy sobie tylko tysiąc złotych (sprzed denominacji oczywiście), zainteresowali

się torbą. na pytanie, co w niej jest, tata anny bez namysłu odpowiedział, że „taki tam, stary sprzęt sportowy”. ale karki były nie w ciemię bite: kazały torbę otworzyć. tata, chcąc nie chcąc, rozsunął suwak i ich oczom ukazał się pysk wilczura z mętnymi oczami i wywalonym ozorem.

– ty, stary, normalnie taki sam jak kundel krzywego – stwierdził z głębokim namysłem pierwszy kark, nie wyrażając najmniejszego zdziwienia niespodziewaną formą „starego sprzętu sportowego”.

– noooooo – odpowiedział z nie mniejszym zastanowieniem drugi. po czym wymienili długie, znaczące spojrzenia i pierwszy kark odezwał się do zupełnie zzieleniałego ze strachu ojca anny.

– panie starszy, a co pan z tym pieskiem będziesz robił?

– do lasu go wiozę – odpowiedział cichutko.

– to my go sobie weźmiemy, jak pan nie masz nic przeciwko – powiedział dres i wyciągnął rękę, przejmując od przestraszonego mężczyzny sportową torbę i zasuwał dokładnie zamek. tata anny, choć lekko oszołomiony, zachował na tyle przytomności umysłu, że gdy tylko pozbawiony został ciężaru torby, pobiegł ile sił w nogach w stronę osiedla, nie dając dresom szansy na ewentualną zmianę decyzji.

ale opowiadam o tym psie nie na darmo, bo wydaje mi się, że, nigdy nie pochowany, wracał do nas jak dybuk. wilczur się nie mścił. po prostu przychodził taki nieskończony – bo ślad po nim urwał się, kiedy był zawieszony w torbie na ramieniu dresa, więc zwykle, gdy nadchodziła jesień, to dybuk-wilczur pojawiał się i my też czuliśmy się w naszych m2 czy m3 zawieszeni nad ziemią jak w sportowej torbie.

\* \* \*

anna mnóstwo czasu spędzała u swojego dziadka. mieszkał w tym samym bloku, czasem chodziłam tam z nią, a jej babcia częstowała nas herbatą i zaśnieżonymi ze starości landrynkami.

dziadek anny znał mnóstwo świetnych sztuczek – potrafił na przykład zapalać papierosy od policzków. brał takiego papierosa w dwa palce, pocierał nim szybkim ruchem o chropowatą skórę twarzy, pokrytą niedogolonym zarostem, zupełnie jakby pocierał zapałką o traszkę, i bach! – unosił triumfalnie w górę zapalone marlboro, a my klaskaliśmy, zachwycone, niczym najwierniejsza publiczność. policzki miał wielkie, nalane i czerwone, jakby za chwilę miały eksplodować. jeśli dziadek z kimś rozmawiał, to rozmówca zwykle, zamiast patrzeć mu w oczy, nie mógł oderwać wzroku

od tych dziadkowych policzków. kiedy z kolei dziadek jadł, a zawsze jadł szybko i dużo, wyglądało to, jakby jego twarz od środka chciały rozerwać jakieś dwa wściekle zwierzęta, gdy tak gwałtownie przeżuwał.

poza tym miał pół ciała zjedzone przez kiłę. kiedy byłam młodsza, myślałam, że to duże zwierzę podobne do wilka, o którym sam dziadek mówił, że je złapał na jakimś „zadupiu”. dopiero kilka lat później zrozumiałam, o co naprawdę chodziło. dziadek twierdził, że to była kiła egzotyczna, o innych objawach niż stary dobry syfilis: jego ciało przypominało szwajcarski ser. przez to musiał podobno zrezygnować z pracy marynarza (bo dziadek anny był marynarzem) – woda przeciekała mu przez te dziury, tak że szedł na dno jak kamień, a co to za marynarz, co nie umie pływać; wrócił więc do kraju i został górnikiem.

dziadek anny trzymał swoje rzeczy w wysokiej szafie. zamykał ją na klucz, tylko jednak dlatego, że w przeciwnym wypadku drzwi wciąż otwierały się z irytującym skrzypieniem. klucz zawsze tkwił w szafie, ale oczywiście żadna z nas nie miała odwagi grzebać w niej bez jego zgody. trzymał tam butelki, mniejsze i większe, z – jak zawsze twierdził, mrugając do nas porozumiewawczo – „lekarstwem”. poza tym, jeśli akurat przy nas zdarzało mu się otwierać szafę, a my z ciekawością wyciągałyśmy szyje, żeby jak najwięcej dojrzeć zza

jego szerokich pleców, szybko, rozczarowane, traciłyśmy zainteresowanie, bo szafa pełna była starych gazet, śrubek poupychanych w pudełkach po margarynie i innych, zupełnie bezużytecznych przedmiotów, które dziadek, jak sam się czasami nam przyznawał szeptem, z beczelnym uśmiechem, trzymał wyłącznie po to, żeby wkurwiać babcię.

jedna tylko półka, najwyższa, pozostawała zawsze poza zasięgiem naszego wzroku i chociaż próbowałam przekonać annę, że z pewnością była, tak samo jak inne, pełna śmieci, to ona tylko kręciła głowę, po każdej wizycie coraz bardziej zdeterminowana, żeby na najwyższą półkę zajrzeć i odkryć wszystkie skarby ukrywane tam przez dziadka.

wreszcie, któregoś dnia, kiedy została w pokoju sama (co zdarzało się bardzo rzadko), szybko podsunęła rozwalające się krzesło pod szafę, wdrapując się na nie w pośpiechu. niestety, pomimo że wspinała się na palce (co było dość ryzykowne, wzięwszy pod uwagę opłakany stan krzesła) i wyciągała szyję, półka wciąż była za wysoko. wreszcie zdesperowana podniosła rękę i stękając, macała na oślep, badając dłonią regał. początkowo wydawało się, że góra szafy jest zupełnie pusta, jednak po chwili anna trafiła na jakiś przedmiot, który z trudem uchwyciła koniuszkami palców i wyciągnęła, w emocjach prawie spadając na

podłogę: w dłoniach trzymała podłużne, czarne, pluszowe pudełko. annie zabiło mocniej serce, z przejęciem otworzyła futerał. w środku był wielki, okrągły, złoty medal! z wrażenia aż zaniemówiła, wpatrując się tępo w swoje odkrycie. dziadek był bohaterem wojennym!!! potem anna przez długie tygodnie chodziła po osiedlu i opowiadała w największym sekrecie każdemu, kto tylko chciał jej słuchać, że dziadek był żydem albo Niemcem i walczył na wojnie.

sam dziadek ochoczo, mniej lub bardziej świadomie, utwierdzał ją w tym przekonaniu. kiedyś anna wbiegła do pokoju, akurat gdy podnosił do ust swój zwyczajowy popołudniowy „kieliszeczek”.

– a co to jest? – zapytała zaciekawiona, pokazując palcem.

dziadek odjął od warg kieliszek, który miał już, już przechylić.

– toooooo? – zapytał przeciągle, przymrużając oczy. – to jest... – nachylił się w stronę anny, zniżając głos do chrapliwego szeptu – ... krew!!!

anna zbladła z wrażenia, a dziadek podniósł stojącą na taborecie flaszkę do góry, kręcąc nią, tak by anna mogła zobaczyć czerwony, karminowy płyn pod światło. na dnie butelki dziadek trzymał ludzkie flaki. żeby krew się nie psuła, mrugnął do wnuczki.

– chcesz zobaczyć?

zanim anna zdążyła odpowiedzieć, dziadek wygrzebał flaki nożem na talerzyk, po czym, szczerząc się, wziął je w paluchy, wsadził do ust i powoli przeżuł, połykając z lubością. otarł zamasyżycie rękawem usta, tłumacząc ledwie oddychającej z wrażenia annie, że bardzo dobrze mu to robi na serce.

oczywiście była to najzwyczajniejsza wiśniówka, ale potem anna z wypiekami na twarzy powtarzała wszystkim, że jej dziadek pije krew rusków; twierdziła przejęta, że w swojej szafie trzyma kilkanaście takich butelek (co akurat było prawdą).

dopiero parę lat później okazało się, że znaleziony przez annę medal to order robotniczy za dwadzieścia pięć lat pracy, a dziadek, kiedy go dostał, to tak się uchłął z kolegami w knajpie na mieście, że zaczął rzucać medalem niczym dyskobol. można sobie tylko wyobrazić, jakie spustoszenie wywołał lecący przez knajpę półkilowy kawałek metalu ciskany z rozmachem pijacką ręką dziadka.

kiedy później wracał taksówką, pod domem oświadczył kierowcy, że jest królem węgla, i koniecznie chciał mu zapłacić za kurs swoim orderem, twierdząc, że to szczerozłota moneta.

– panie, nie chcę tego gówna, dawaj pieniądze – bronił się taksówkarz.

– to jest kurwa waluta, to nie jest jakiś tam rubel czy złotówka, nawet dolar przy tym to nic nie

jest! – krzyczał dziadek. – panie, to jest taka waluta, że pan sobie pół województwa wykupisz!

taksówkarz, zdenerwowany, widząc, że nic nie wskóra, zapytał dziadka niewinnie:

– a to pan szanowny, skoro ma taką walutę przy sobie, to może ją sobie ulokuje w nieruchomościach? to strach takie pieniądze w tych czasach przy sobie mieć przecież.

– panie, dobrze pan gadasz... – zamyślił się dziadek i przycisnął medal do piersi.

– widzisz pan, panie szanowny, tak się składa, że ja mam akurat znajomego, który chce lokal sprzedać, hotel właściwie, w samym centrum. ale wiesz pan, on tam dużo kupców ma, bo oferta nie byle jaka, trzeba by to szybko załatwić.

– no to na co czekamy, wieź mnie pan tam!!! – krzyknął wyraźnie podekscytowany dziadek.

następnego dnia babcia otrzymała telefon z informacją, że ma się zgłosić po swojego małżonka na miejską izbę wytrzeźwień. powiadomiono ją także, że wzmiankowany obywatel wkroczył na ową izbę o trzeciej nad ranem, w galowym mundurze, i wymachując medalem, oświadczył, że jest królem węgla i on ten burdel kupuje.

\* \* \*

OD WIELU LAT CZEKALIŚMY NA TAKI DEBIUT.

Paweł Huelle

**TRANSOWY, MOCNY,  
ZNAKOMITY DEBIUT,**

w którym to, co pospolite, brudne, tandetne, na naszych oczach przeobraża się w metafizyczne i fantastyczne. W szarym blokowisku Śląska czasów transformacji odradza się Macondo i zarazem Ulica Krokodyli. Zdegradowany świat podwórek i magicznych labiryntów klatek schodowych opisany jest ostro, sugestywnie – dobrze znanym autorce językiem blokowego kosmosu. Przez swoje bogactwo i wielość perspektyw powieść ta może być interpretowana na wiele sposobów. Tylko od nas zależy, który z nich wybierzemy.

**Doppelganger. Oko, które bacznie obserwuje  
hipnotyczną rzeczywistość. Ucho, które  
wsluchuje się w pulsujący rytm miejskich  
legend. Ręka, która kreśli opowieść  
jak nikt przed nią.**

ISBN 978-83-240-3389-8



Cena 34,90 zł

**znak.com.pl**  
KSIĄŻKI Z DOBREJ STRONY

E-book dostępny na  
**woblink.com**